

**Drogi Czytelniku,
Szanowni Państwo,**

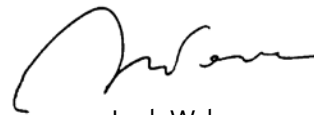
dzisiejszy świat stawia przed nami wiele nowych wyzwań. Na naszych oczach przechodzimy z ery opartej na przywiązaniu do pracy fizycznej, ziemi i granicach, do nowej rzeczywistości świata intelektu, globalizacji i internetu. Potrzebujemy nowych struktur i rozwiązań na nowe czasy. Na czym je oprzeć, jak je budować? Skąd czerpać wzorce? To pytania, które dziś przed nami stoją.

Według mnie niezwykle istotne jest, aby odpowiadając na rysujące się wyzwania, nie zapominać o tożsamości i historii, czyli o tym, co ukształtowało naszego ducha i postawę. Pamiętajmy, że naszą polską, narodową cechą było przez wieki pragnienie wolności, suwerenności i możliwości samostanowienia. Był nią swoisty Gen Wolności.

Nasze bogate doświadczenie ponadtysiącletniej państwowości pokazuje, jak z wolnością potrafiliśmy sobie pięknie radzić. Ale uczy nas również, do czego prowadzi jej nadużywanie i anarchia. Polska historia pokazuje, jak o wolność walczyliśmy oraz jak i dlaczego ta wolność była nam odbierana. Zastanówmy się nad tym sami, ale też i w rozmowie z rodzicami, kolegami oraz nauczycielami. Pomyślmy, jakie wnioski z naszej historii możemy wyciągnąć.

Niech refleksja nad historią naszego kraju widzianą przez pryzmat hasła „wolność” pomoże nam w odpowiedzi na pytania stawiane dziś i w przyszłości.

Tego Państwu życzę.



Lech Wałęsa



Fundacja „Instytut Lecha Wałęsy”

Bajki dla dzieci

Mam GEN wolności

Tekst Jerzy Ciechanowski, Ilustracje Anna Błaszczuk

O Zbyszku, co księciu Mieszkowi gród wybudował

Dawno, dawno temu, w czasach, gdy niemal całą nadwiślańską krainę porastały gęste bory, wąską leśną ścieżką podążał książęcy orszak. Mieszko I wraz ze swoimi rycerzami szukał miejsca, w którym mógłby zbudować gród – prawdziwy dom dla siebie, rodziny i najbliższych kompanów. Jednym z nich był Zbyszko, młody i dzielny rycerz, na którego księżę zawsze mógł liczyć.

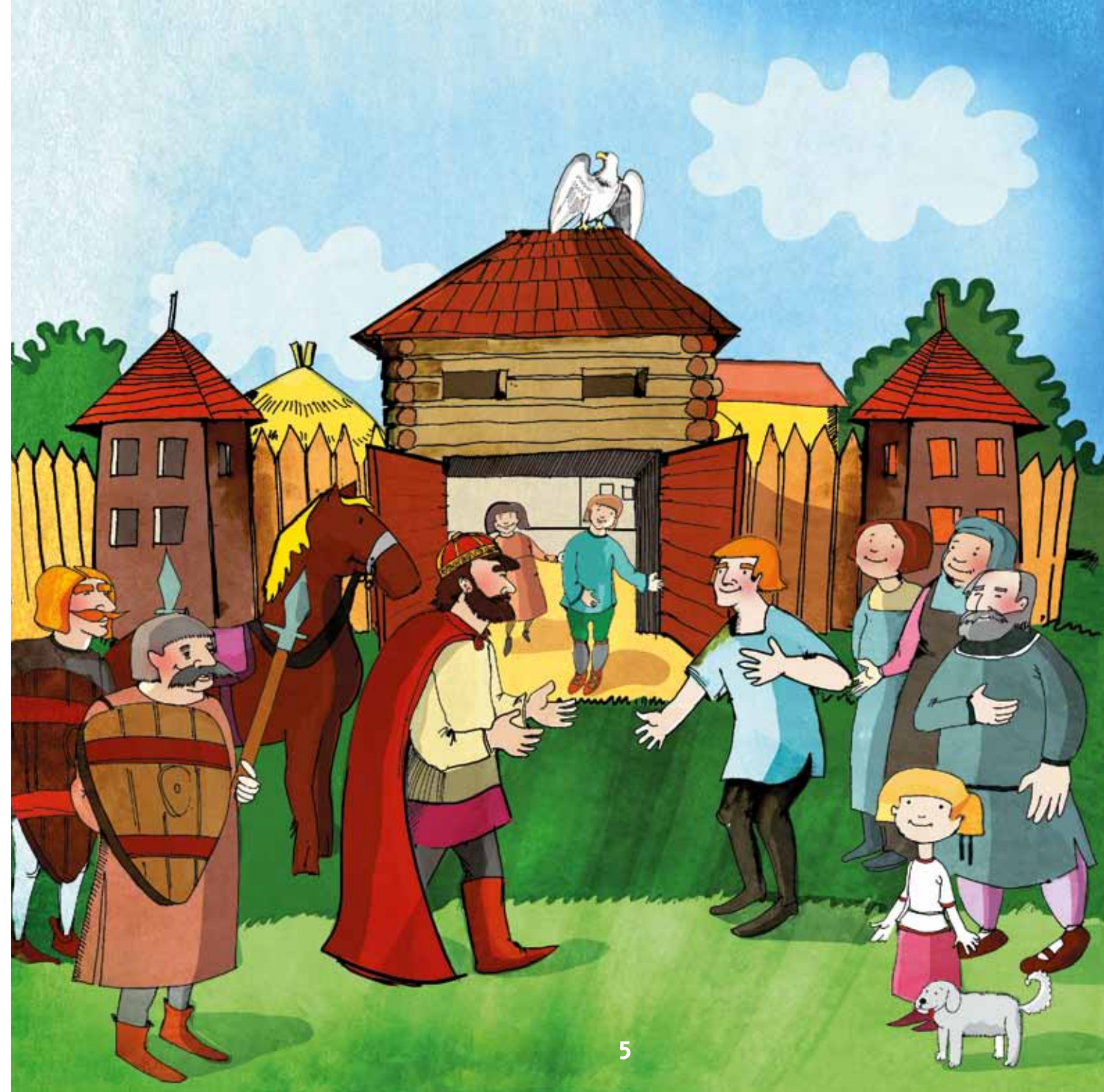
Nagle orszak dotarł do rozległej polany. Z jednej strony graniczyła ona z lasem, a z drugiej – z rzeką. Nad polaną wysoko krążył rzadki ptak: biały orzeł. Mieszko uznał, że to dobry znak. Zatrzymał konie i rzekł do poddanych:

– To tu!

Nie miał wątpliwości, że wreszcie, po wielu tygodniach tułaczki znalazł właściwe miejsce. Otaczający polanę las zapewni pożywienie: mięso, grzyby i jagody. Z kolei rzeka da rycerzom ryby i raki oraz wodę.

Księżę stanął jednak przed trudnym zadaniem: kogo wyznaczyć na budowniczego grodu? Przecież wszyscy jego rycerze chcieli być zawsze przy nim i w ten sposób pomagać w powstawaniu nowego państwa. Mieszko zebrał więc radę, podczas której zapytał zgromadzonych rycerzy:

– Któż z was, moi wierni poddani, jest gotów zostać tu i zbudować nasz nowy dom? Zapanowała cisza. Rycerze zaczęli oglądać się na siebie, gdy nagle wstał Zbyszko.





Zrozumiał, że musi przyjąć na siebie obowiązek budowy wspólnego domu, że tylko on zapewni im schronienie, bezpieczeństwo i prawdziwą wolność. Że w ten sposób ciężką pracą przyczyni się do powstania czegoś ważnego.

– Ja mogę, książę – powiedział mocnym i pewnym głosem Zbyszko, kłaniając się w pas. – Wiem, że zadanie nie jest proste, ale ważne. Czuję, że podołam – dodał.

Twarz księcia się rozpromieniła. Wstał, podszedł do Zbyszka i serdecznie go uściskał.

Następnego dnia Mieszko z drużyną udał się w daleką podróż, a Zbyszko wraz z kilkoma ochotnikami, którzy zgodzili się z nim zostać, błyskawicznie zabrał się do pracy. Szybko jednak okazało się, że sami nie dadzą radę – zbyt wiele rzeczy było do zrobienia...

Tymczasem po okolicy szalała groźna banda. Napadała na wioski, rabowała jeźdźców i paliła domostwa. Na chłopów padł błdy strach, bo nie byli w stanie sami obronić się przed intruzami.

Pewnego dnia, gdy Zbyszko wraz z towarzyszami pojechał do lasu po drewno, zobaczył, jak owa banda zbirów napada na jedną z wiosek. Rycerze przyczaili się za krzakami i obserwowali, co się dzieje. Następnie w ciszy pokiwali porozumiewawczo głowami i rozdzielili się bezszelestnie, otaczając wioskę. Nagle, na znak Zbyszka, wyskoczyli z lasu i po krótkiej walce pojmali zaskoczonych bandytów.

Chłopi byli szczęśliwi, długo dziękowali i obiecywali, że się odwdzięczą, jak tylko będą umieli. Wtedy Zbyszkowi zaświtała myśl i rzekł do nich:

– Dobrzy ludzie, pomóżcie nam zatem budować gród dla księcia. Będzie to nasze wspólne dzieło, nasz wspólny dom. Odtąd będziemy mogli mieszkać razem i wspólnie bronić się przed niebezpieczeństwami.



Chłopi ochoczo się zgodzili i już następnego dnia stawili się do pracy. Pracowali ciężko każdego dnia, rąbiąc drzewo w lesie i zaciągając je na polanę, kopiając fosę i rowy. Prace posuwały się błyskawicznie. Wszędzie słychać było pracę pił, wbijanie pali i szlifowanie desek. W mgnieniu oka zbudowano mury z pali, zwodzony most i domy, w tym najważniejszy – dom dla księcia. Potem stanęła karczma, mogąca dać schronienie także podróżnym, kapliczka, pralnia i niewielkie targowisko. Domy z drewnianych bali były kryte słomą i uszczelniane gliną, dzięki czemu były nie tylko piękne, ale też ciepłe.

Gdy po roku wrócił książę, stanął oniemiały. Nie poznał tamtej pięknej, acz pustej polany. W jej miejscu stał wielki, potężny gród – siedziba z prawdziwego zdarzenia dla niego i jego poddanych! U bramy czekał uradowany Zbyszko i jego towarzysze oraz chłopi. Książę zsiadł z konia, podbiegł do Zbyszka i mocno go wyciął.

Wieczorem, z okazji budowy grodu i powrotu księcia z podróży, na głównym placu grodu wydano uroczystą ucztę. Wszyscy radowali się z takiego obrotu spraw.



O Marcinie, co króla pojechał wybierać

Przed wieloma wiekami w pięknym starym dworze mieszkał szlachcic Marcin z żoną i trójką małych dzieci. Rodzina żyła z darów ziemi, głównie uprawy zboża. Na głowie Marcina było wiele obowiązków: musiał pilnować, by prace w polu były wykonane na czas, a także dbać o to, by sprzedać je z odpowiednim zyskiem. Najwięcej pracy było w pełni lata, czyli w czasie żniw i tuż po nich. Rodzina Marcina nie narzekała jednak na swój los i cieszyła się z tego, co miała.

Pewnego lata tuż przed żniwami po okolicy rozeszła się wieść, że miłościwie panujący król Stefan Batory zmarł i wszyscy szlachetnie urodzeni – w tym Marcin – są zaproszeni do Warszawy na wielkie wybory nowego króla. Zaszczyt ten, przysługujący w demokracji szlacheckiej tylko lepiej urodzonym, miał też jednak złe strony. Marcin musiałby porzucić gospodarstwo w najważniejszym momencie w roku, a i sama podróż do dalekiej stolicy była bardzo kosztowna. Zafrasował się, lecz wtedy podeszła do niego jego żona Maria i rzekła:

– Marcinie, to twój obowiązek wobec ojczyzny. Jedź, ja ze wszystkim dam sobie świetnie radę.

To rzekłszy, objęła go mocno i ucałowała. Marcin poczuł, że ma w niej wsparcie i że może liczyć na jej pomoc. Wstał i powiedział do Marii:



– Masz rację, kochanie. Muszę jechać, w imię wolności. Ojczyzna w potrzebie!
To powiedziawszy, poszedł się spakować i następnego dnia wyruszył w daleką drogę.
Podróż do Warszawy była długa i męcząca, ale już po kilku dniach stanął na podwarszawskich polach, niedaleko wsi Wola. Na rozległych terenach mazowieckiej niziny było tysiące szlachciców i możnych. Każda część Polski miała swój namiot i Marcin musiał najpierw odnaleźć ten właściwy. Gdy już dotarł we właściwe miejsce, szybko zorientował się, że wybór króla nie jest taką prostą sprawą.

Do wyboru było dwóch kandydatów. Każdy miał swoich zwolenników, ale też przeciwników. Dyskutowano o ich mocnych i słabych stronach, dzielono się opiniami, czasem nawet dochodziło do kłótni. Wszyscy chcieli, by nowy król był jak najlepszy i dla demokracji szlacheckiej, i dla całej Rzeczypospolitej. Rozmowy toczyły się najpierw w namiocie, a gdy wreszcie uzgodniono wspólny wybór, należało próbować przekonać innych...

Czas biegł nieubłaganie, lecz w końcu wszystkim udało się porozumieć. Królem został Zygmunt III Waza, a Marcin – wraz z innymi uczestnikami wyborów – wyrzucali do góry kapelusze, strzelali na wiwat i wieszowali nowemu władcy.

Tymczasem Maria dzielnie radziła sobie z obowiązkami. Przy gospodarstwie pomagały też dzieci oraz okoliczni chłopci. Gdy żniwa były na ukończeniu, do Marii dobiegły wieści, że król został wreszcie wybrany. Ucieszyła się na tę wiadomość, bo wiedziała, że mąż niedługo wróci do domu.

I rzeczywiście, z końcem lata Marcin, stęskniony, ale radosny, zawitał z powrotem do dworu. Z okazji jego powrotu wydano uroczystą kolację, podczas której Marcin opowiedział gościom o wyborach i o wspianym nowym królu. Także o tym, na

czym polega demokracja i że stawianie się na wyborach – choćby było to kłopotliwe – jest obowiązkiem każdego wolnego człowieka! Podziękował także żonie, że dzięki jej sile, odwadze i roztropności mógł wspomóc ojczyznę w ważnej dla niej chwili.



O dzielnej Jance, żonie husarza Jakuba

Dawno temu, w niewielkim majątku mieszkał szlachcic Jakub i jego żona Janka. Jakub od zawsze marzył o tym, by być husarzem. Kochał konie, miał ich kilka, ale żeby zostać husarzem, musiałby mieć rumaka niezwykłego: wytrzymałego, silnego i szybkiego. A takie rodziły się niezwykle rzadko i były bardzo drogie. Sporo kosztowała też zbroja, kopia i cała wojenna wyprawa...

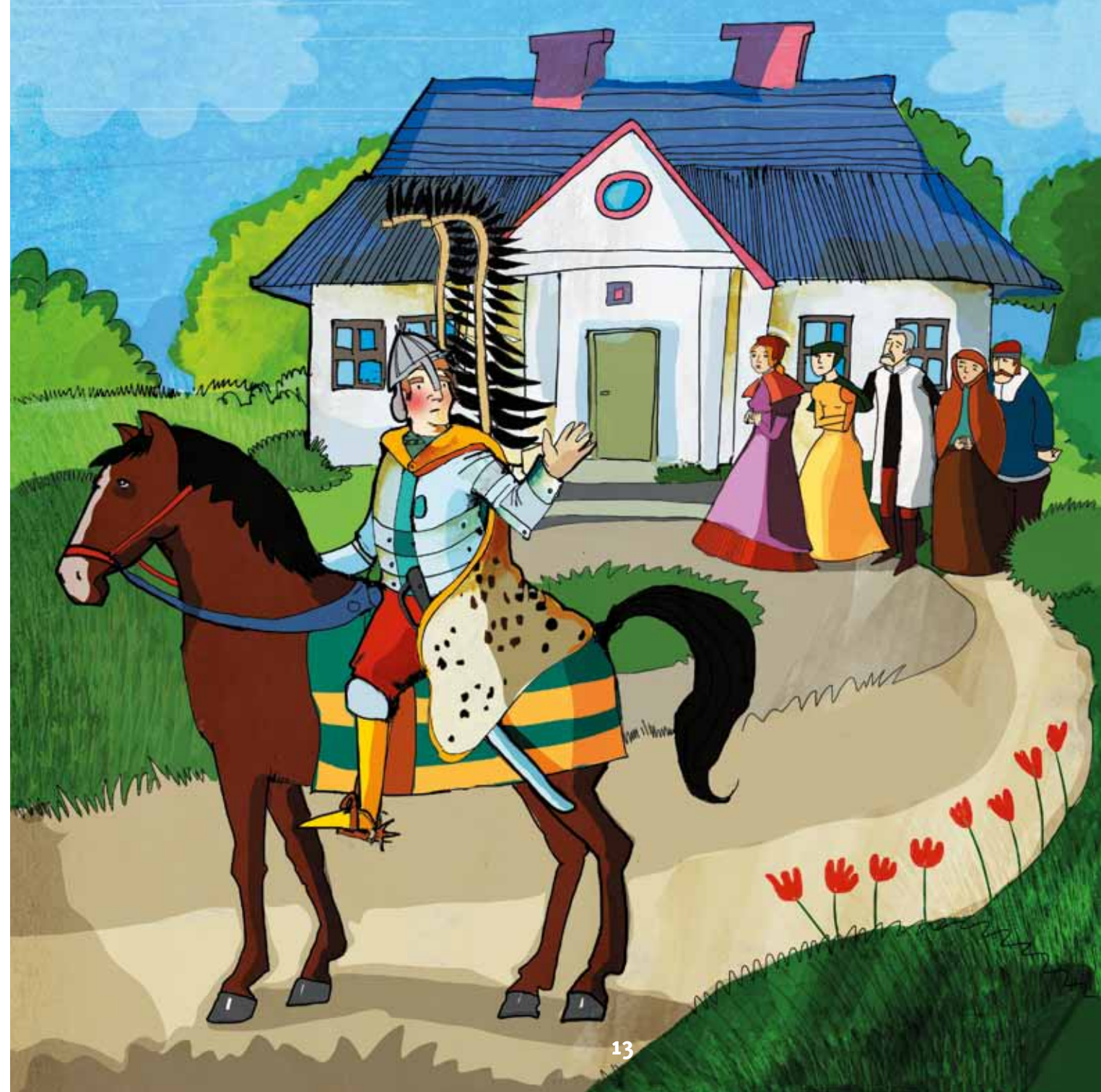
Janka знаła marzenia swojego męża i mocno go wspierała w próbie ich realizacji, jednak mimo wysiłków nie byli w stanie uzbierać wystarczająco dużo pieniędzy na husarski ekwipunek.

Pewnego dnia po okolicy rozeszła się wiadomość, że wróg stoi u bram Rzeczypospolitej i król wzywa wszystkich pod broń. Janka czuła, że na nich spoczywa obowiązek obrony wolności kraju i że musi zacząć działać.

„Skoro sami z Jakubem nie jesteśmy w stanie uzbierać pieniędzy, porozmawiam z sąsiadami” – pomyślała.

I tak też zrobiła. W tajemnicy przed mężem, umówiła się z kilkoma sąsiadami, również szlachcicami. Opowiedziała im o potrzebie obrony wolności, o obowiązku wobec Rzeczypospolitej i o swoim pomysśle.

– Nie możemy wszyscy zostawić naszych gospodarstw i ruszać na wojnę. Zamiast





tego zbierzmy pieniądze i kupmy Jakubowi konia oraz niezbędny husarski ekwipunek. On jeden dobrze uzbrojony lepiej pomoże ojczyźnie niż my wszyscy z osobna – powiedziała.

Sąsiedzi pokiwali głowami i zaczęli się wspólnie naradzać. Po chwili uznali, że to świetny pomysł.

Każdy miał oddać kawałek swojego majątku. Jednak Janka i Jakub nie mieli wiele. Janka zdecydowała, że wkładem ich rodziny będą jej rodowe kosztowności. W tajemnicy przed mężem sprzedała je, a uzyskane pieniądze przekazała sąsiadom.

Ci wreszcie mogli kupić, co trzeba. Wybrali wspaniałego konia: silnego, szybkiego, wytrzymałego i zwinnego. Zamówili zbroję, kopię i skrzydła. Gdy już wszystko było przygotowane, zebrali się i wspólnie powiedzieli Jakubowi o swoim pomysle. Ten, gdy dowiedział się o wszystkim, wzruszył się bardzo i padł Jance w ramiona, a następnie wyściskał się z sąsiadami. Janka mocno go przytuliła i powiedziała:

– Jedź, Jakubie, i wracaj szczęśliwie. Kiedy już będziesz z powrotem, ciężką pracą zarobimy pieniądze i odkupimy nasze kosztowności.

Niebawem Jakub wyruszył na wojnę. Szybko doszło do pierwszej, emocjonującej bitwy. Wróg przeważał, miał więcej żołnierzy i polska piechota nie dawała sobie rady. Jakub stał w gotowości na wzgórzu wraz z resztą husarzy, czekając na rozwój wypadków i dalsze decyzje. Gdy widać było, że bez pomocy husarii nie da się nic zrobić, hetman podniósł buławę i dał znak do ataku.

Jakub jechał w pierwszym rzędzie. Początkowo husarze ruszyli wolno, jadąc w pewnej odległości od siebie. Stopniowo rozpędzali się, by w końcu zewrzeć szyki i z całym impetem wpaść w linię wroga. Jakub uderzył kopią w przeciwnika z całą



mocą i nagle okazało się, że polska husaria rozbiła obronę wroga w pył! Siła rozpędzonych koni była ogromna, a bohaterstwo husarzy – niedoścignione. Nie minęło kilka godzin, a przeciwnik, rozbity, uciekał w popłochu.

W polskim obozie zapanowała wielka radość. Wszyscy wiwatowali i winszowali zwycięzcom. Jakub był wzruszony, zsiadł z konia i pieszczotliwie go poklepał. Pomyślał też o Jance i sąsiadach. To dzięki nim miał tego wspaniałego rumaka, mocną kopię i wspaniałą zbroję, która ochroniła go od ciosów wroga.

Wygrana bitwa nie oznaczała jednak jeszcze końca wojny. Jakub walczył dzielnie dalej, a wieść o kolejnych sukcesach husarii rozeszła się po całej Europie. Wrogowie wiedzieli już, że nie tak łatwo będzie w przyszłości odebrać wolność Polsce i że muszą się liczyć z silnym oporem jej mieszkańców.

Wojna trwała długo, jednak zakończyła się wielkim zwycięstwem wojsk polskich, a Jakub, odznaczony osobiście przez hetmana za bohaterstwo i waleczność, w chwale wrócił do domu. Gdy tylko Janka zobaczyła go przez okno, wybiegła wzruszona na powitanie i wpadła mu w ramiona. Przyszli też sąsiedzi i w wielkiej radości gratulowali Jakubowi sukcesów. Ten rzekł wtedy do nich:

– To także wasze zwycięstwo, moi kochani. Gdyby nie wasza mądrość i hojność, nie mógłbym bronić naszej wolności.

Jakub opowiedział o swoich przygodach, poprosił o czas na odpoczynek, a kilka dni później – zmęczony, ale szczęśliwy – zabrał się do ciężkiej pracy w gospodarstwie. Obiecał sobie, że nie spocznie, dopóki nie odkupi Jance jej kosztowności, a sąsiadom poświęconego majątku.

O Macieju, co marzył o wstąpieniu do Szkoły Rycerskiej

Dawno temu, w czasach gdy królem Polski był Stanisław August Poniatowski, w mazowieckim dworze przyszedł na świat Maciuś, spadkobierca starej, ale niemającej szlacheckiej rodziny. Maciuś był pełnym wigoru dzieckiem. Energicznym i uśmiechniętym – wszędzie było go pełno. Chłopiec uwielbiał udawać, że jest rycerzem. Na głowę wkładał lupinę od dyni, do ręki brał mieczyk wystrugany przez dziadka i mierzył się z każdym kolegą w okolicy. Z czasem, gdy dorastał, dziecięca pasja zmieniała się w prawdziwe zamiłowanie.

Gdy Maciej był już prawie pełnoletni, nad Rzeczpospolitą zaczęły się zbierać czarne chmury: wrogowie chcieli wykorzystać jej chwilową słabość i rozkraść polskie ziemie. Pod wodzą marszałka Stanisława Małachowskiego zwołano Sejm Czteroletni, który miał zadbać o naprawę kraju, a nieco wcześniej król Stanisław August, wiedząc, że do przyszłej walki będzie potrzebował wspaniałych żołnierzy, otworzył Szkołę Rycerską, w której uczyć się mieli najzdolniejsi młodzi chłopcy.

Na wieść o tym Maciej niezwykle się uradował – czuł, że to na nim w przyszłości powinna spoczywać odpowiedzialność za obronę wolności kraju i jego mieszkańców. Wiedział także, że aby bronić ojczyzny, powinien wstąpić do szkoły i stać się wspaniałym dowódcą.





Rodzice Macieja rozumieli jego potrzebę. Ze smutkiem, ale zarazem wzruszeniem i dumą z odwagi syna pożegnali go czule i wysłali do szkoły do Warszawy.

Maciej uczył się doskonale. Wiedział, że od tego zależy, jak dobrym będzie wojakiem i że tego oczekuje od niego Rzeczpospolita. Przez kilka lat nauki poznał języki obce, prawo i matematykę. Poprawił jazdę na koniu, a także został mistrzem szkoły we władaniu szpadą. Był zdolny i pracowity, co dostrzegł sam komendant szkoły, książę Czartoryski, który w duchu myślał, że powinien jakoś tego młodziana nagrodzić.

Pewnego pięknego majowego dnia, po zakończeniu zajęć Maciej wybrał się na spacer. Wyszedł z budynku Pałacu Kazimierzowskiego, w którym mieściła się szkoła, i pomaszerował Krakowskim Przedmieściem w kierunku Zamku Królewskiego. W całej Warszawie dużo mówiło się o wielkich wydarzeniach dla Polski, jakie działy się na zamku, o burzliwych obradach Sejmu. Czuło się nadzieję z tym związaną.

Gdy Maciej dochodził już do celu, zobaczył nagle wychodzący z zamku tłum, wiwatujący i krzyczący: „Wiwat król, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!”. Ujrzał króla Stanisława Augusta dumnie krocącego przed wszystkimi oraz marszałka Małachowskiego, niesionego na rękach, trzymającego tryumfalnie jakiś dokument. Maciej podbiegł do tłumy i spytał, co się stało. Dowiedział się, że właśnie uchwalono konstytucję, najważniejsze prawo w Polsce, i że wszyscy zmierzają teraz do katedry dziękować Bogu za ten sukces. Maciej podążył za nimi i cieszył się ze wszystkimi. Była to wielka chwila w historii Polski, a ową konstytucję nazwano potem Konstytucją 3 maja.

Tymczasem rok szkolny dobiegał końca, tak jak i cała nauka Macieja. Tradycją szkoły było wręczanie z tej okazji kadetom specjalnych dyplomów. Macieja oraz jego



kolegów zaproszono na uroczyste zakończenie. Podczas uroczystości książę Czartoryski nagle wstał. Na sali zapanowała cisza jak makiem zasiał, a on wtedy powiedział:

– Wszyscy, drodzy uczniowie, zasłużyliście swoją pracowitością na pochwały. Ale jeden z was wyróżniał się przez cały czas nauki. Teraz chciałbym go osobiście nagrodzić. Macieju, bo do ciebie się zwracam, mianuję cię moim osobistym adiutantem.

Cała sala wybuchła oklaskami i wiewatami. Maciej był bowiem bardzo lubiany i ceniony przez swoich kolegów i nauczycieli. On sam, ze łzami w oczach, podszedł do księcia, upadł na kolana i ucałował go w pierścień. Odtąd służył mu przez wiele, wiele lat...



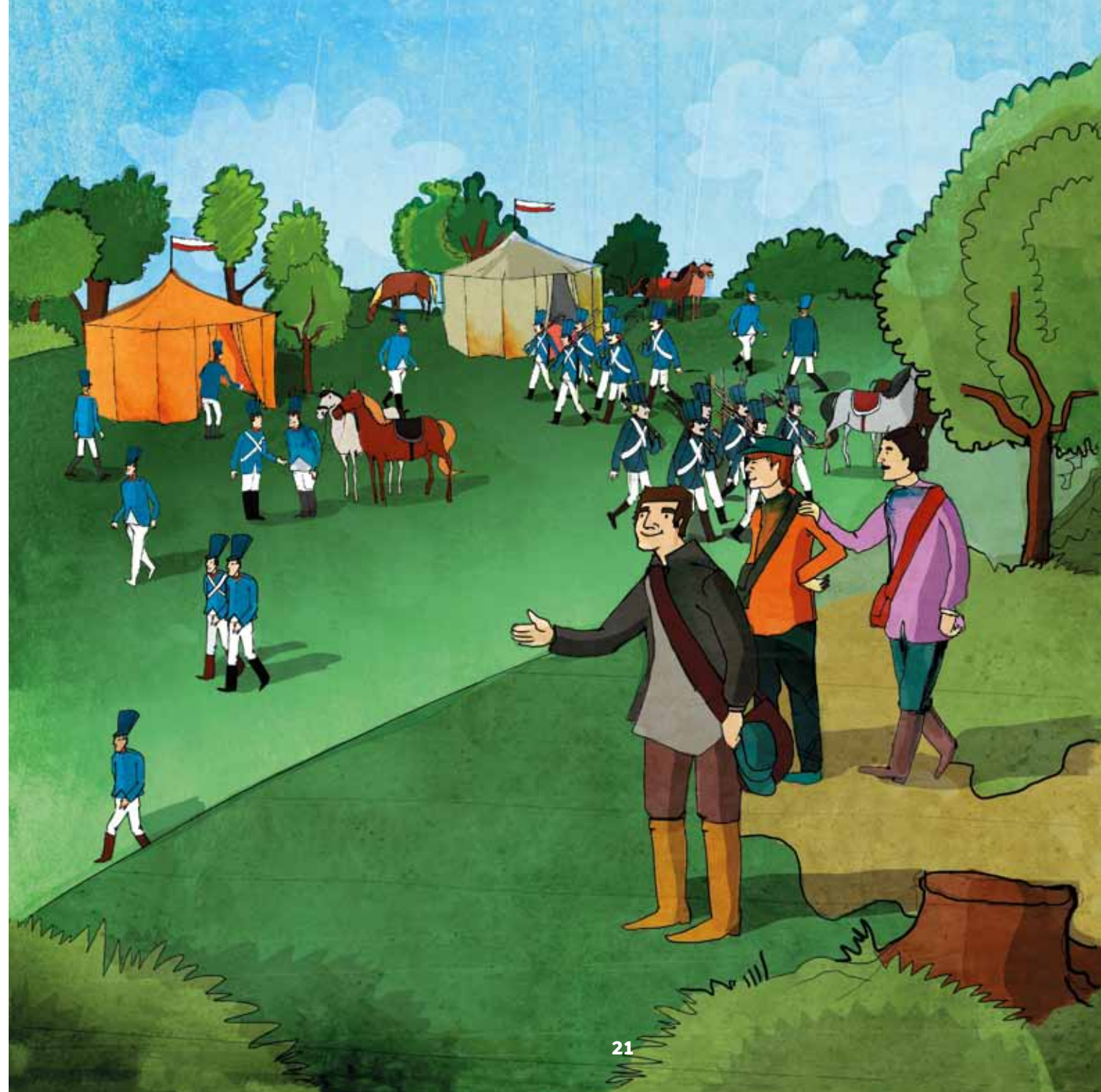
O Michale, co poszedł z Napoleonem za Polskę się bić

Dawno temu, w czasie, gdy Polski nie było na mapie, w Warszawie w niewielkiej rodzinie mieszczańskiej przyszedł na świat Michaś. Jego ojciec był lekarzem, a mama zajmowała się domem i opiekowała kilkorgiem rodzeństwa. Michaś był najmłodszy ze wszystkich dzieci. Dla całej rodziny ojczyzna była bardzo ważna. Wszyscy mieli nadzieję, że odzyskanie niepodległości nastąpi jak najszybciej.

Michał rósł jak na drożdżach. Był silnym, wesołym chłopakiem. Dobrze się uczył, a po szkole chodził na lekcje fortepianu. Lubił też jeździć konno, strzelać na strzelnicy i ścigać się z kolegami. Rodzice z radością patrzyli, jak dojrzewał, i żalowali, że nie pamięta wolnej Polski.

W szkole Michał miał wielu kolegów, zakochał się także – z wzajemnością! – w uroczej Hance. Chodzili razem na spacer, długo rozmawiali i planowali wspólne życie.

Niespodziewanie wszystko się jednak zmieniło. Po Warszawie zaczęła rozchodzić się wieść, że cesarz Francuzów wraz ze swoją niezwyciężoną armią zbliża się do dawnych granic Polski i że ogłasza nabór wszystkich chętnych umiejących posługiwać się bronią, którzy chcą u jego boku walczyć o wolność. Nagle Michał poczuł, że zawołanie to jest skierowane między innymi do niego. Od zawsze marzył, by móc walczyć o wolność Polski, o jej niepodległość, o której tak wiele mówiono w domu.





Chciał, by Polska znowu odzyskała należne jej miejsce na mapie Europy. Michał postanowił zaciągnąć się do wojska idącego z Napoleonem.

– Będę walczył za ojczyznę! – powiedział pewnego dnia rodzicom w salonie.

Ci wzruszyli się, słysząc o wszystkim. Pełni obaw, ale też nadziei, pobłogosławili jego decyzję. Michał miał rozdarte serce, bo zostawiał nie tylko rodziców, ale także ukochaną Hankę. Ta jednak rozumiała obowiązek i obiecała czekać na jego powrót.

Jak się niebawem okazało, nie tylko Michał, ale również kilku jego kolegów zdecydowało się wstąpić do wojska. Pełni radości i dobrej wiary udali się na miejsce zbiórki. Jechali konno kilka dni, zatrzymując się a to na leśnej polanie, a to w zakolu rzeki. Spali pod gołym niebem, jedli pieczone w ognisku zapasy przygotowane przez zatroskane mamy i czuli, że czeka na nich wielka przygoda.

Aż wreszcie po kilku dniach dotarli do wskazanego miejsca. Ich oczom ukazała się ogromna polana, na której panował niezwykły harmider. Byli pod wrażeniem, jak wielu młodych chłopaków zgłosiło się do wojska! Szybko zostali przydzieleni do nowych oddziałów i Michał dowiedział się, że za dwa dni wyrusza w drogę.

Prędko zyskał zaufanie przełożonych. Był odważny, świetnie strzelał, był także szybki i zwinny. Pewnie dlatego postanowiono, że zostanie zwiadowcą.

Pewnego wieczoru Michała wezwano do namiotu pułkownika.

– Michale, mam dla ciebie ważne, ale niebezpieczne zadanie – powiedział pułkownik. – Chciałbym, abyś pod osłoną nocy podjechał do obozu wroga i zobaczył, ilu jest nieprzyjaciół oraz jaką mają broń. Obawiam się, że wróg może być bardzo mocny, i muszę być na to przygotowany.

Michał przyjął rozkaz, zsalutował i wyszedł z namiotu. Był rozemocjonowany.



Wiedział, że wyprawa może być niebezpieczna, jednak nie miał wątpliwości, że musi działać. Zapakował broń, dopiął szablę, po czym dosiadł konia i ruszył przed siebie.

Początkowo jechał szybko, jednak z czasem, gdy zbliżał się do obozu wroga, zwalniał. W pewnym momencie zsiadł z konia i uwiązał go do drzewa. Nie mógł dalej jechać konno, bo ktoś mógłby go usłyszeć. Skradał się po ciemku w kierunku odgłosów obozu. Gdy dotarł do niego, ukrył się w krzakach i przyglądał przeciwnikowi. Rzeczywiście żołnierzy nieprzyjaciół było wielu, ale nie to zbudziło trwogę w Michale. Zobaczył bowiem dwa wielkie działa oraz mnóstwo beczek z prochem. Wiedział, że armaty mają potężną siłę i w czasie bitwy mogły siał spustoszenie. Mimo że miał tylko zorientować się w sile wroga i wracać do swojego obozu, postanowił wykorzystać okazję i coś zrobić z tymi działami. Zakradł się do nich niepostrzeżenie, do luf napchał proch z kilku beczek i przyczepił do nich sznurek. Oddalił się, po czym podpalił lont i zaczął uciekać.

Po chwili rozległ się huk – proch eksplodował, rozbijając w pył oba działa. W obozie wroga zapanował chaos, wszyscy biegali z miejsca na miejsce i nie wiedzieli, co się stało. Michał wykorzystał to zamieszanie, dobiegł do konia, dosiadł go i uciekł.

Po powrocie opowiedział pułkownikowi, co widział i zrobił, a ten mocno go wyściskał.

– Michale, zrobiłeś wielką rzecz. Ocaliłeś życie wielu ludziom. Twoja odwaga i bohaterstwo nie mają sobie równych – powiedział pułkownik.

Jak się potem okazało, nie był to jedyny bohaterski czyn Michała. Wojna u boku Napoleona trwała długo, chłopak walczył mężnie i szybko awansował, o czym pisał w listach do rodziny i ukochanej. Gdy wreszcie wojna dobiegła końca, Michał wrócił do Warszawy jako bohater. Czekala na niego nie tylko stęskniona rodzina, ale też Hanna, z którą niebawem wziął ślub i urządził huczne wesele.

O Ani, która pracowała w księgarni

Dawno temu, w czasach, gdy po brukowanych ulicach jeździły dorożki, żyła sobie w Krakowie Ania ze swym ojcem. Ania nie pamiętała mamy – ta umarła niedługo po jej urodzeniu. Ojciec kochał swą córkę bardzo i starał się, by niczego jej nie brakowało, a szczególnie miłości. Dbał także, by zachowywała pamięć o wolnej Polsce, której niestety już od prawie stu lat nie było na mapie Europy...

Ania od dziecka uwielbiała czytać. Cały jej dom był pełen książek, w tym wspaniałej polskiej prozy i poezji. Także praca ojca była związana z literaturą. Tato Ani prowadził księgarnię przy ulicy Grodzkiej, niedaleko wawelskiego wzgórza. W owych czasach Kraków był w zaborze austriackim i ojciec Ani nie mógł sprzedawać niektórych polskich książek – groziły za to surowe kary, a nawet więzienie. Ojciec jednak, podobnie jak Ania, był patriotą i mimo niebezpieczeństwa sprzedawał spod lady zakazane tytuły.

Pewnego dnia wydarzyła się smutna historia: tato Ani nagle zasłabł, trafił do szpitala, gdzie niestety zmarł.

Ania długo oplakiwała swojego ukochanego ojca, została przecież sama na świecie. Postanowiła jednak wziąć się w garść – musiała sobie jakoś radzić. W spadku dostała księgarnię i kiedy weszła do niej po raz pierwszy jako właścicielka, zadumała się. Wtem poczuła, że chyba znalazła w życiu nowy sens. „Wiem! – pomyślała – będę kontynuować dzieło ojca! W imię przyszłej wolności”. Postanowiła, że nie tylko





będzie sprzedawać książki, ale że także codziennie ciężko pracować na rzecz przyszłej wolności. Że zadba o to, by krakowskie dzieci znały ojczysty język i pamiętały o wielkiej historii swojego kraju.

Ania szybko zabrała się do pracy. Uprzątnęła nieco księgarnię, zorganizowała specjalne miejsce dla dzieci i kupiła trochę nowych książek. Zdecydowała, że od tej pory księgarnia stanie się magicznym miejscem dla młodych krakowian, w którym będą oni mogli nie tylko kupić książkę, ale także ją przeczytać, posłuchać, jak czyta im dorośli, spotkać się z rówieśnikami. Ani zależało, by dzieci poznawały polskie książki i uczyły się szanować swój język. Zachowanie własnej kultury było bardzo ważne w czasie, gdy Polski nie było na mapie.

Aby to osiągnąć, Ania musiała poinformować wszystkich o swoim pomysle. Nie namyślając się wiele, przygotowała plakaty i rozwiesiła je w całym Krakowie. Jakże była szczęśliwa i mile zaskoczona, gdy już następnego dnia zaczęły przychodzić do niej dzieci z całego miasta, szukając pięknych polskich książek. Ania zadbała o to, by czuły się tam wspaniale: sprowadziła aktorów czytających dzieciom na głos, a także organizowała zabawy na tematy znane z książek. Dbała też, by dzieci zawsze miały pod ręką ciastko i ciepłą herbatę. Cieszyła się, widząc, jak szybko dzieci chłonęły polską literaturę i wzmacniały swoje więzi z ojczystym językiem, a nie tym narzucanym przez zaborcę.

Każde z dzieci, które odwiedzało jej księgarnię, było inne i lubiło nieco inne książki. Jaś uwielbiał słuchać historii o wojnach i zwycięstwach polskiej husarii. W czasie lektury nie umiał usiedzieć w miejscu: co chwila zrywał się i biegał po całej księgarni, udając, że jedzie z kopią na koniu. Krysia kochała słuchać wierszy, bo była



dzieckiem bardzo wrażliwym. Natomiast Andrzej pasjonował się książkami o muzyce i malarstwie, sam też uwielbiał malować różne sceny. W księgarni Ania niemal cały czas puszczała z trzeszczącego patefonu muzykę Fryderyka Chopina. Słuchając jej, wszyscy wyobrażali sobie malownicze polskie krajobrazy i marzyli, by Polska kiedyś znowu była wolna...

W takich chwilach Ania była szczęśliwa. Wiedziała, że zasiewa w dzieciach ziarno miłości do kraju, które kiedyś powinno wydać piękne owoce. W momentach szczególnie miłych wznosiła oczy ku niebu i myślała w duchu: „Dziękuję ci, Tatusiu, bez ciebie nigdy by się to nie udało”.

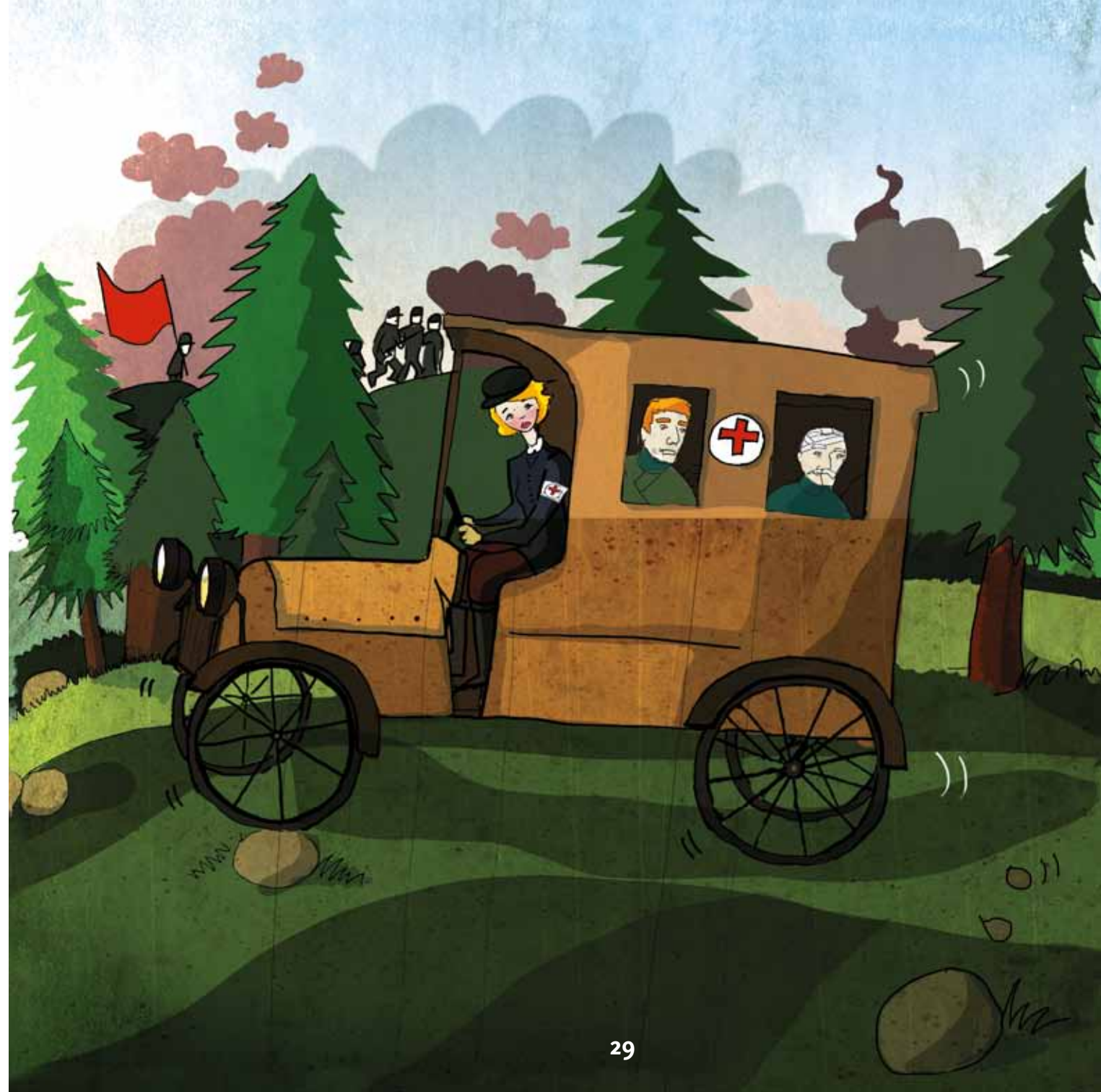


O Zosi, co prowadziła karetkę w czasie Bitwy Warszawskiej

Sto lat temu żyła w Warszawie pewna Zosia. Była jedyną córeczką małżeństwa nauczycieli. Mieszkała z nimi w kamienicy przy ulicy Wilczej. Wraz z kolegami i koleżankami z okolicy bawili się całe dnie na dworze, grając w klasy, berka i bujając się na trzepaku. Zosia jednak, w przeciwieństwie do koleżanek, lubiła przede wszystkim bawić się z chłopakami. Ciągnęło ją niezwykle do samochodów, rowerów, kolejek – wszelkich zabawek mechanicznych. Marzyła w duchu o tym, by prowadzić kiedyś auto albo może nawet zostać kolejarzem...

W czasie gdy Zosia dorastała, Polska wreszcie odzyskała niepodległość. Ulice Warszawy były pełne wiwatujących tłumów. W ludzi wstąpiła zupełnie nowa energia i szalona radość. Wszyscy kochali być wolni. Jednak radość nie trwała długo. Już niecałe dwa lata potem wróg ze Wschodu postanowił napaść na Polskę i odebrać jej dopiero co odzyskaną swobodę. Gdy Armia Czerwona zbliżała się do granic miasta, ogłoszono powszechną mobilizację. Wszyscy chcieli walczyć za Polskę, w obronie jej niepodległości. W owych czasach kobiety nie brały udziału w wojnie, ale Zosia, dorastająca panna, kochała swój kraj i też chciała dać coś od siebie.

Pewnego dnia, spacerując Krakowskim Przedmieściem, przeczytała na słupie ogłoszenie, że wojsko szuka sanitariuszek, które będą opiekowały się rannymi



w karetkach. Czuła, że to spełnienie jej marzeń: pomoc ojczyźnie, a zarazem praca w aucie! Jeszcze tego samego dnia popędziła do miejsca zgłoszeń i się zapisała. Kilka dni później siedziała w karetce i wraz z lekarzami udzielała pomocy rannym na polu bitwy. Ziściły się także jej marzenia z dzieciństwa. Okazało się bowiem, że była bardzo zdolna i najszybciej ze wszystkich nauczyła się prowadzić samochód, co w tamtych czasach było zupełnie niezwykle. Została więc nie tylko sanitariuszką, ale też doskonałym kierowcą.

Pewnego dnia dostała informację, że ma udać się wraz z lekarzem tuż za linię frontu – wróg mocno nacierał i było wielu rannych. Niestety, lekarz, który powinien z nią jechać, miał po drodze wypadek i Zosia musiała wybrać się tam sama. Jechała wąską, gruntową drogą, bardzo wyboistą. Karetka skakała na nierównościach niczym piłka. W końcu jednak Zosia dotarła do właściwego miejsca, opatrzyła rannych i pomogła im wejść do karetki. Musiała się spieszyć, gdyż najeżdźcy byli coraz bliżej. Wsiadła do auta i ruszyła z powrotem do Warszawy. W pewnym momencie Zosia usłyszała huk pękającej opony – koło nie wytrzymało tak złej drogi. Wszyscy bardzo się przestraszyli, bo jak tu uciekać z rannymi bez auta? Ale Zosia nie straciła zimnej krwi. Pomogła wszystkim wysiąść z pojazdu i zabrała się do wymiany koła. Sprawa nie była prosta, bo karetka była bardzo ciężka, a Zosia była drobną kobietą. W dodatku było słychać zbliżające się wojsko radzieckie... Zosia pomyślała chwilę, po czym podłożyła pod karetkę wielką długą gałąź i z pomocą kilku łżej rannych oparła się na niej, unosząc lekko pojazd. Pod auto podłożyli kamień i dalej sprawa była już prosta – po kilku minutach koło było zmienione. Wszyscy wsiedli szybko do auta i dosłownie w ostatniej chwili uciekli przed nadbiegającymi żołnierzami wroga.

Wielka radość zapanowała w karetce – wszyscy dziękowali Zosi i gratulowali jej odwagi.

Przez cały czas trwania Bitwy Warszawskiej Zosia wielokrotnie ryzykowała życiem, by udzielać rannym pomocy. Na szczęście wojna szybko dobiegła końca, a zwycięstwo wojsk polskich było miażdżące. Na ulicach stolicy zapanowała wielka radość. Mówiono o Cudzie nad Wisłą! Głównymi ulicami miasta przemaszerowała defilada zwycięskiego wojska, prowadzona przez marszałka Józefa Piłsudskiego. Niedaleko za marszałkiem jechała też karetka, prowadzona przez szczęśliwą, uśmiechniętą od ucha do ucha Zosię. Machali jej mieszkańcy Warszawy, rzucając na maskę kwiaty. Byli wśród nich także ci, którym uratowała życie. Wszyscy cieszyli się z ocalonej wolności Polski.



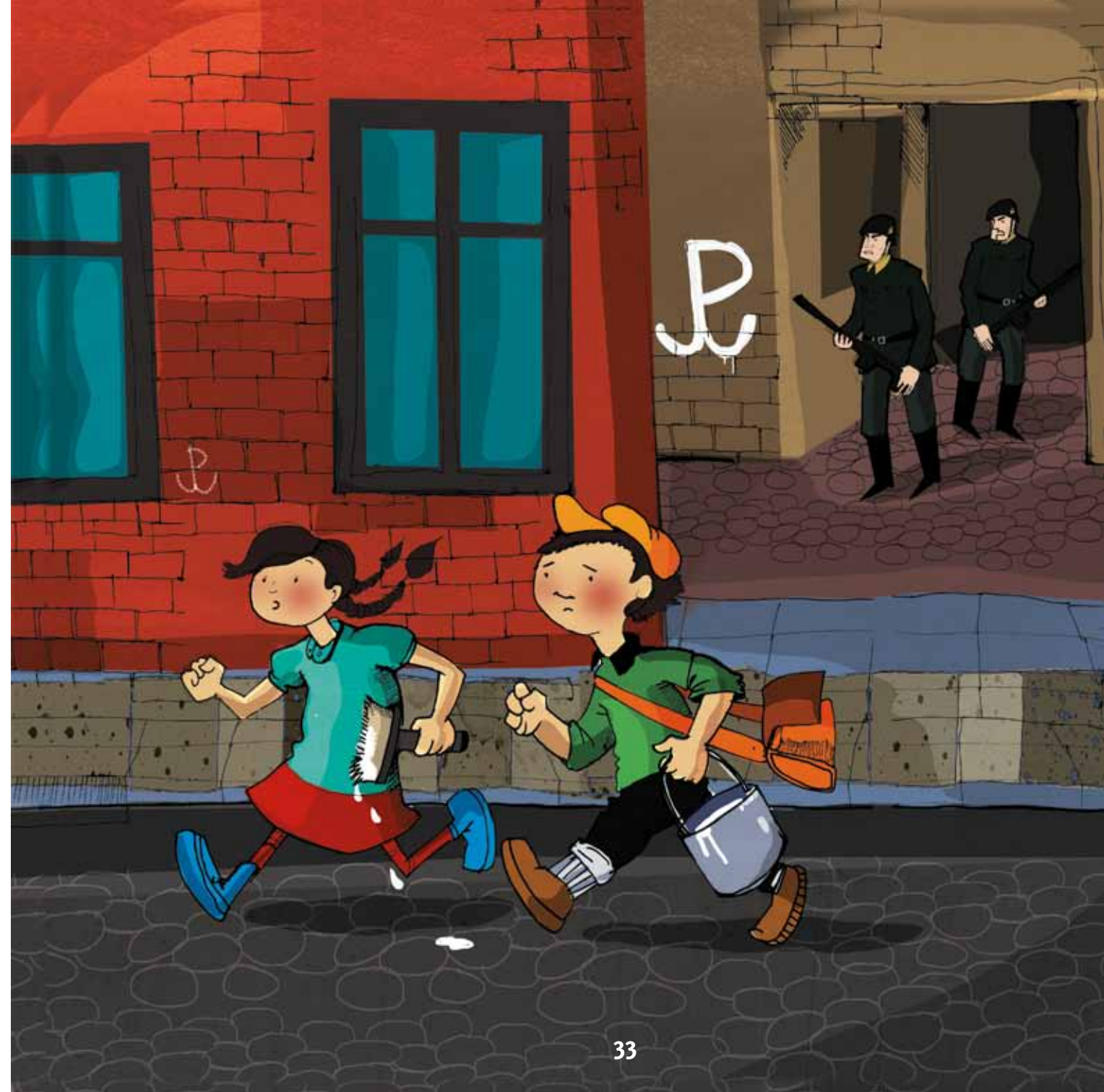
O Małgosi i Krzysiu, co nocą po murach malowali

Wiele lat temu, gdy na całym świecie szalała II wojna światowa, mieszkało w Poznaniu sympatyczne rodzeństwo: Małgosia i Krzyś. Małgosia miała 15 lat, a Krzyś – 16. Oboje przed wojną należeli do harcerstwa, jeździli na obozy i uczyli się o historii Polski. W czasie wojny hitlerowcy pozamykali wszystkie polskie szkoły i rodzeństwo musiało chodzić potajemnie do mieszkań nauczycieli, by móc uczyć się języka polskiego. Nie mogli normalnie jeździć na wakacje, często byli głodni i kiepsko ubrani. Ojciec poszedł na wojnę, zostali tylko z mamą i babcią.

Małgosia i Krzyś wiedzieli, że starsi koledzy działają potajemnie na rzecz wolności Polski. Niektórzy służyli w wojsku, inni pomagali w konspiracji. I wtedy w ich głowach zaczęła rodzić się myśl: „A może tak i my moglibyśmy w czymś pomóc? Też chcemy walczyć z okupantem, który zabrał Polsce wolność!”. Czuli zew wolności. Pobiegli szybko do mamy i powiedzieli, że oni też chcieliby pomóc. Ale ona rzekła wtedy:

– Kochani, jesteście jeszcze tacy młodzi... Cóż moglibyście zrobić? Przecież nie umiecie strzelać. A poza tym – chyba umarłabym ze strachu, wiedząc, że nie tylko wasz ojciec, ale także wy ryzykujecie życie.

Jednak rodzeństwo się uparło. Młodzi szybko dowiedzieli się na podwórku, że są





potrzebne osoby do malowania na murach wolnościowych haseł albo znaku Polski Walczącej. Że w Szarych Szeregach szukają zwinnych, szybkich i bystrych harcerzy, którzy pod osłoną nocy mogliby w ten sposób działać.

– Małgosiu, to dla nas świetna wiadomość! – powiedział Krzyś. – Przecież nikt jak my nie zna zakamarków podwórek, tajemnych przejść. Nikt nie jest tak szybki i zwinny. Zgłośmy się.

I tak też zrobili. Dowódca harcerzy początkowo się wahał, czy powierzyć to zadanie tak młodym ludziom, ale w końcu się zgodził.

Po kilku dniach Małgosia i Krzyś dostali pierwsze zadanie – mieli namalować znaki Polski Walczącej na murach kamienic niedaleko swojego domu. Nie wydawało im się to specjalnie trudne, bo przecież doskonale znali okolice.

Gdy tylko zapadł zmierzch, rodzeństwo wyruszyło z domu. Mieli ze sobą puszkę białej farby i gruby pędzel. Przemykali się wzdłuż murów, a gdy tylko widzieli kontur jakiejś postaci, szybko chowali się do bramy. Tak dotarli do pierwszej kamienicy. Po cichu Krzyś otworzył puszkę, a Małgosia pewnym ruchem namalowała znak, po czym oboje szybko zniknęli w mrokach bramy.

– Łatwizna – powiedział Krzyś. Oboje byli zadowoleni i zaskoczeni, jak wszystko łatwo poszło.

Udali się w kierunku następnej kamienicy i powtórzyli wszystko, co robili wcześniej. Nagle usłyszeli czyjeś kroki i w oddali zauważyli, że zbliżał się patrol. Zamarli – gdyby ich złapano, groziła im śmierć. Pierwszy z odrętwienia wyrwał się Krzyś i szepnął Małgosi:

– W nogi!



Porzucili farbę i pędzel, po czym popędzili w kierunku najbliższej bramy. Słyszeli za sobą tylko krzyk: „HALT! HALT!”, a następnie kilka strzałów, na szczęście niecelnych.

Żołnierze rzucili się za nimi w pogoń. Rodzeństwo jednak doskonale знаło okoliczne podwórka, przejścia i zakamarki. Wpadłszy do bramy, Małgosia i Krzyś wbiegli do pierwszej klatki, zbiegli nią do sutereny, a stamtąd – przez małe okno – przeskoczyli na następne podwórko. Mijając trzepak, ławkę i kapliczkę, wbiegli do następnego wejścia, przemknęli przez schody i wyszli drugim wyjściem, na zupełnie inną ulicę. Hitlerowcy zostali daleko w tyle i szybko pogubili się w płataninie podwórek.

Rodzeństwo, dysząc, dobiegło do domu i tam znalazło schronienie.

Przygoda ta nie pozbawiła ich entuzjazmu, nauczyła jedynie większej ostrożności. Malowali na murach hasła wolnościowe przez cały czas okupacji. Wielokrotnie przyłapywano ich na gorącym uczynku, oni jednak zawsze dzięki sprytowi i szybkości uciekali patrolom. Gdy którejś nocy namalowali wielki znak Polski Walczącej na rynku głównym, cały Poznań był z nich dumny.

Wezwał ich wtedy dowódca harcerzy i rzekł przy wszystkich:

– Kochani, jestem z was bardzo dumny. W dowód uznania odwagi i sprytu przygotowałem dla was specjalną nagrodę – czapki wojskowe z orzełkiem w koronie.

Małgosia i Krzyś byli zachwyceni, mimo że czapki były nieco za duże. Zachowali je na pamiątkę. Przez następne kilkadziesiąt lat, ilekroć Małgorzata i Krzysztof spojrzeli na czapki, przypominały się tamte niebezpieczne, ale piękne chwile.



O Ryszardzie, co nigdy nie chybił

Dawno temu, w czasach między jedną wielką wojną a drugą, we wsi na Lubelszczyźnie przyszedł na świat Rysio, syn zarządcy majątku ziemskiego. Chłopak chował się wspaniale. Dorastał wśród rozległych pól porastających malowniczy pagórkowaty krajobraz, wśród grzybnych lasów i czystych rzek. W wolnych chwilach lubił leżeć na łące i patrzeć w niebo. Myślał wtedy:

– Ach jak cudownie byłoby wznieść się ku niebu! Latać pośród chmur i spoglądać na Ziemię z wysoka...

Takie marzenie nie miało jednak większych szans na spełnienie. Gdzież on, wiejski chłopak, miałby się uczyć pilotażu i skąd wzięłby pieniądze na samolot?

Tymczasem, gdy Rysio miał 18 lat, wybuchła II wojna światowa. Do Polski wkroczyli z jednej strony Niemcy, z drugiej Rosjanie i Rysio musiał podjąć szybką i dramatyczną decyzję o ucieczce z kraju. Wraz z innymi uchodźcami trafił do Anglii. Początkowo był przygnębiony, jednak w pewnym momencie zdał sobie sprawę z tego, że nie musi siedzieć bezczynnie. Powiedział sobie w duchu: „Przecież także tutaj mogę walczyć dla dobra mojego kraju. W imię starego polskiego hasła: »za wolność waszą i naszą«”. Jak pomyślał, tak też zrobił: zaciągnął się do wojska. Oczywiście do lotnictwa!

Ryszard szybko się uczył – błyskawicznie stał się doskonałym pilotem. Zbiegło się to z czasem, gdy hitlerowcy próbowali zdobyć Anglię. Cała wyspa szykowała się do





ciężkiej walki, która – jak się potem okazało – miała się rozegrać przede wszystkim w powietrzu.

Ryszard siedział razem ze swoimi kolegami pilotami (z których wielu było Polakami) w hangarze na lotnisku i czekał na rozkazy. Nagle rozległy się syreny nakazujące szybkie stawienie się u dowódcy. Ten zebrał ich w pokoju i powiedział:

– Żołnierze, wróg nadlatuje nad Anglię. Musimy stawić mu czoła. To może być najważniejsza bitwa wojny, od której będzie zależeć końcowe zwycięstwo lub przegrana.

Piloci popatrzyli na siebie. Czuli ogromną odpowiedzialność, ale to tylko bardziej ich zmobilizowało. Wszyscy pobiegli do swoich samolotów i wzbili się w niebo.

Ryszard miał bardzo dobry samolot: szybki, zwinny i dobrze uzbrojony. Przez radio usłyszał głos z wieży:

– Widzimy na radarze zbliżający się bombowiec wroga oraz kilka osłaniających go myśliwców nieprzyjaciela. Podejrzewamy, że chcą zbombardować naszą stolicę. Musicie ich powstrzymać!

Ryszard ruszył w te pędy w ich kierunku. Za nim podążyli inni piloci. Rozpoczęła się zacięta walka na niebie. Co chwila ktoś zdobywał przewagę, by za moment ją stracić. Nagle Ryszard zorientował się, że jest na celowniku wroga, który leciał tuż za nim! Musiał działać bardzo szybko. Wzbił się błyskawicznie w gęstą chmurę, nieco zwolnił, a następnie wyłonił się tuż pod nią. Dzięki temu manewrowi to on teraz siedział na ogonie niemieckiego myśliwca i po chwili celną serią strzałów strącił go na ziemię.

Tymczasem bombowiec zbliżał się już do Londynu i Ryszard wiedział, że musi się spieszyć. Podleciał możliwie blisko niego i oddał kilka celnych strzałów. Trafił!



Z ogona samolotu zaczął wydobywać się czarny dym. Bombowiec zaczął obniżać lot i chwilę później rozbił się o ziemię.

– Melduję strącenie celu! – powiedział przez radio i dodał: – Wygraliśmy!

W słuchawkach Ryszard usłyszał wiwaty i wielką radość. On sam odetchnął z ulgą. Wiedział, że od jego sprawności zależało życie wielu ludzi.

Gdy wylądował, czekali już na niego pozostali piloci. Wysiadał z samolotu i wszyscy rzucili mu się na szyję. Radości nie było końca. Za swoją odwagę i męstwo Ryszard został nagrodzony medalem od samego generała. Medal wisi zresztą u niego w domu do dziś w specjalnej gablocie, obok ukochanej czapki pilota...



O Krysi, co przy powielaczu pracowała

Kryśka przyszła na świat w Krakowie, już po wojnie, ale w czasie, gdy Polska nie była wolnym krajem – rządziła ją komunistyczna, podległa Związkowi Radzieckiemu. W kraju panowała bieda, nie można było robić, czego się chciało, mówić, co się myślało. Życie w biedzie i zakłamaniu było dla wielu nie do zniesienia.

Kryśka dorastała w domu, w którym pamiętano o lepszych czasach i tęskniono za wolną ojczyzną. Każdy z przodków Kryśki albo walczył za Polskę na wojnach, albo w czasach pokoju ciężko pracował, by kraj stawał się silniejszy i piękniejszy. Kryśka także obiecała sobie, że gdy tylko nadarzy się okazja, ona też pomoże swojej ojczyźnie. Aby być w gotowości, zapisała się potajemnie do Solidarności.

Pewnej zimowej niedzieli w Polsce wprowadzono stan wojenny. Na ulicę wyjechały czołgi, uwięziono Lecha Wałęsę i innych członków Solidarności walczących o wolność i prawdę. I wtedy Kryśka poczuła, że oto nadszedł czas, gdy powinna pomóc swojemu krajowi. W podziemiu zajęła się drukowaniem tajnych ulotek. Gdy już były wydrukowane, jej przełożony dał jej pierwszy rozkaz:

– Kryśko, trzeba nasze ulotki przewieźć do Gdańska i tam rozdać wśród ludzi, by poinformować ich o tym, co się dzieje i jak się mają zachowywać. Droga będzie niebezpieczna – wszędzie czołgi i patrole wojska. Czy nie będziesz się bała? – zapytał.





– Będę, ale dam radę! – odpowiedziała Krysia i szybko spakowała ulotki do wakacyjnego plecaka.

Wyruszyła nazajutrz. Postanowiła część drogi pokonać pociągiem, a resztę pieszo. Bała się bowiem wzmożonych kontroli na głównych dworcach w dużych miastach i te właśnie chciała obejść.

Zima tego roku była bardzo sroga. Panowały duże mrozy, wszędzie było pełno śniegu. Było to dodatkowe utrudnienie dla Krysi – idąc po białym puchu, ciężiej się ukryć, w dodatku zimno dawało się mocno we znaki.

Z Krakowa Krysia wyjechała pociągiem, jednak przed Warszawą wysiadła z niego i – tak jak zaplanowała – ruszyła pieszo w dalszą drogę.

Droga była bardzo męcząca. Ciężyły jej ulotki, a ręce i nogi aż bolały od mrozu. Gdy tak szła przez las, natrafiła na niewielką drogę. Jakież było wielkie jej zaskoczenie, gdy nagle spostrzegła patrol Milicji Obywatelskiej. Bardzo się przestraszyła. Gdyby milicjanci odkryli, co niesie, trafiłaby do więzienia. Postanowiła ich jednak przechytryć. Wróciła do lasu i nazbierała chrustu, którym przykryła swój plecak. Zgarbiła się, nakryła głowę chustą i zaczęła udawać starszą panią ze wsi. Tak przebrana poszła w kierunku patrolu. Gdy przechodziła obok milicjantów, jeden spojrzał na nią przenikliwie, jakby coś podejrzewał. Już nawet chciał ją zatrzymać i sprawdzić, gdy nagle otrzymał wezwanie przez radiostację. Machnął ręką i wrócił do wozu. Krysia odetchnęła z ulgą... Niebezpieczeństwo na chwilę się oddaliło.

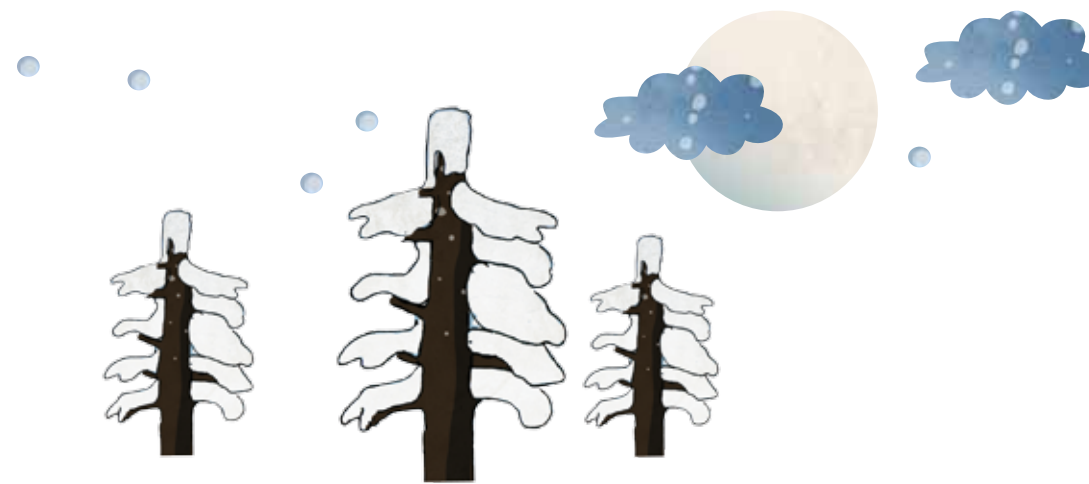
Krysia szła potem jeszcze kilka dni w śniegu i mrozie, przez lasy i wsie. Zatrzymywała się u dobrych ludzi, którzy karmili ją gorącą zupą i chlebem z serem, bo niczego lepszego nie mieli. Wszyscy żyli biednie, jednak podejrzewając, że Krysia może być

jedną z tych wielu osób, które potajemnie pomagają Solidarności walczyć o wolną Polskę, o nic nie pytali i nie prosili w zamian o pieniądze.

Gdy ominęła w końcu Warszawę dużym łukiem, wsiadła z powrotem do pociągu i pojechała na Pomorze. Tam również, dojeżdżając do Trójmiasta, zdecydowała się wysiąść i dla bezpieczeństwa końcówkę drogi przejść pieszo. W ten sposób – już bez niemiłych przygód – dotarła do Gdańska. Doszła do umówionej kryjówki i przekazała ulotki. Zmęczona, ale szczęśliwa, odebrała pochwały i gratulacje od kolegów z Warszawy.

– Dziękujemy ci, Krysiu, za tę pomoc – rzekł dowódca w kryjówce. – Dziś walka o wolność Polski składa się z wielu takich drobnych, bohaterskich czynów.

To powiedziawszy, mocno ją przytulił, a Krysia powiedziała, że to dla niej dopiero początek! I tak też się stało: dziewczyna pomagała organizacji przez następne długie, długie miesiące.



O Jasiu, co się uczyć nie chciał

Jaś urodził się w wolnej Polsce, należącej od niedawna do Unii Europejskiej. Nie pamiętał czasów komunizmu, czołgów na ulicach i pustych półek w sklepach. Jego rodzice ciężko pracowali, by zapewnić rodzinie dobrobyt. Chcieli, by Jasiowi niczego nie brakowało: by mogli latać latem na wakacje do Hiszpanii, a zimą na narty do Francji.

Jaś chodził do szkoły podstawowej. Nie przepadał za uczeniem się. Wolał leniuchować, wagarować i grać w piłkę, niż odrabiać lekcje i zdobywać wiedzę. Zabiegani rodzice nie zauważali, że Jaś przynosił z dnia na dzień coraz gorsze oceny, aż w końcu pewnego wieczora zadzwoniła do nich dyrektorka szkoły, informując o kłopotach syna. Problemy zaczęły być naprawdę duże – promocja Jasia do następnej klasy była zagrożona.

Rodzice bardzo się zasmucili. Zastanawiali się, co zrobić: karać Jasia, czy starać się przemówić mu do rozsądku? I wtedy z pomocą nadszedł dziadek Jasia. Zaproponował, że porozmawia z wnuczkiem. Wziął go do pokoju i tak do niego rzekł:

– Jasiu, jak ci nie wstyd – powiedział mocnym głosem. – Masz wszystko, czego zapragniesz. Jedynym twoim obowiązkiem jest dobrze się uczyć. Marnujesz trud poprzednich pokoleń, które o to, co masz, musiały walczyć i cierpieć. Źle korzystasz z wielkiego daru, jakim jest wolność. Wolność znaczy odpowiedzialność. Dziś to systematyczna nauka i praca. Nie musisz już walczyć o swoją niepodległość



z sąsiadami, jak było przed wiekami: teraz pozostaje ci tylko wspólna praca z nimi nad budowaniem wolnej Polski w silnej Europie. Zastanów się poważnie nad sobą!

Jasiowi zrobiło się potwornie wstyd. Nigdy nie patrzył na odrabianie lekcji w ten sposób... Przypomniawszy sobie wszystkie rodzinne opowieści o przodkach, którzy od zarania dziejów budowali Polskę. O tych, którzy walczyli za jej wolność jako husarze, wspierali niepodległość, uczestnicząc w demokracji szlacheckiej, wspierali uchwalenie Konstytucji 3 maja, szli ramię w ramię z Napoleonem, bijąc się o niepodległość, albo ciężko pracowali o zachowanie języka i kultury oraz reformowali kraj. W uszach brzmiały mu opowieści o rodzinnym wkładzie w Bitwę Warszawską, walkę „za wolność waszą i naszą” podczas II wojny światowej i granie na nosie hitlerowskiemu okupantowi. Wspomniawszy historie z czasów stanu wojennego i wspierania Solidarności.

I wtedy Jaś poczuł, jak zaczynał działać w nim gen wolności. Zrozumiał, że nie ma prawa marnować tego wielkiego dziedzictwa. Że musi wszystko naprawić i dokonać w swoim życiu prawdziwej zmiany.

Szybko zabrał się do pracy: umówił się z nauczycielami na poprawianie ocen, pozyczył zeszyty od kolegów i zaczął nadrabiać zaległości. Tak się zawziął, że na koniec roku nie miał już żadnego zagrożenia. Ba, z niektórych przedmiotów nawet stał się prymusem!

Nauczyciele i dyrektor byli z niego bardzo dumni, z tej całej przemiany, jaką przeszedł. I dlatego podczas uroczystego rozdania świadectw postanowili przygotować dla niego niespodziankę. Jaś był niezwykle zaskoczony, gdy przy oklaskach całej szkoły został poproszony na środek sali, gdzie otrzymał dyplom i gratulacje. Gdy

wracał, rzucił okiem w kierunku rodziny. Zobaczył tam uśmiechniętych rodziców i dziadka, wzruszonego do łez.



SPIS TREŚCI

O Zbyszku, co księciu Mieszkowi gród wybudował	4
O Marcinie, co króla pojechał wybierać	8
O dzielnej Jance, żonie husarza Jakuba	12
O Macieju, co marzył o wstąpieniu do Szkoły Rycerskiej	16
O Michale, co poszedł z Napoleonem za Polskę się bić	20
O Ani, która pracowała w księgarni	24
O Zosi, co prowadziła karetkę w czasie Bitwy Warszawskiej	28
O Małgosi i Krzysiu, co nocą po murach malowali	32
O Ryszardzie, co nigdy nie chybił	36
O Krysi, co przy powielaczu pracowała	40
O Jasiu, co się uczyć nie chciał	44

FUNDACJA „INSTYTUT LECHA WAŁĘSY”

Fundacja jest apolityczną organizacją pozarządową typu non-profit ufundowaną przez Prezydenta Lecha Wałęsę w grudniu 1995 roku, po zakończeniu sprawowania przez niego urzędu Prezydenta RP. Jest pierwszą fundacją prezydencką w Polsce.

W ramach swojej działalności kształtuje pozytywny obraz Polski i Polaków w kraju i za granicą, działa na rzecz ochrony dziedzictwa narodowego, tradycji niepodległościowej i solidarnościowej oraz na rzecz edukacji młodych pokoleń.

W oparciu o wartości, które legły u podstaw polskiego ruchu społecznego „Solidarność”, Fundacja wspiera tych, którzy walczą o lepsze jutro, stąd jej działalność skupia się również na przeciwdziałaniu łamaniu praw człowieka i wspieraniu procesów demokratyzacji społeczeństw oraz promocji dialogu międzykulturowego i międzyreligijnego.

Copyright © Fundacja „Instytut Lecha Wałęsy”, Warszawa 2011

ISBN 978-83-7781-004-0

Publikacja przygotowana przy współpracy z Fundacją „Kocham Polskę” oraz Grupą Wydawniczą BOOKMARK SA